ŚWIAT SZKOLNY

1937 Nr. 6

ŚWIAT SZKOLNY

Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich Częstochowy

Rok XI Kwiecień 1937 Nr. 6 (65).

Wspomnienie o Bolesławie Prusie

19.V.1912 — 19.V.1937.

Klęska powstania styczniowego odbiła się głośnym echem pośród szerokich mas społeczeństwa polskiego, które od r. 1863 zmieniło swój sposób myślenia. Od tego czasu nie wyładowywano już swej energii w ruchach powstańczych, gdyż uważano, że naród musi najpierw stanąć na wysokim poziomie kulturalnym oraz gospodarczym, a wtedy dopiero może myśleć poważnie o walce o niepodległość. Pokolenie młodsze patrzące na nieszczęsne powstanie styczniowe poczęło zupełnie inaczej zapatrywać się na wiele kwestii. W tym też czasie powstaje hasło „pracy od podstaw", pracy „organicznej". Działacze, którzy propagowali te hasła i pragnęli je wcielić w życie, wypowiedzieli walkę zwolennikom starych kierunków literackich i przeżytych idei. W swych krytykach i pismach powoływali się na dzieło filozoficzne francuskiego myśliciela Comte'a, który był twórcą kierunku pozytywistycznego; stąd także i w Polsce powstała nazwa pozytywistów. Ci właśnie pozytywiści zaatakowali zwolenników romantycznego poglądu na świat, twierdząc, że poezja uczy tylko roztkliwiania się i rozmarzania, a to jest zgubą dla społeczeństwa. Wszystkie zamierzenia i czyny powinny mieć na widoku korzyść ogółu. Literatura powinna uczyć i dawać rady, powinna być służebnicą społeczeństwa. Toczyła się na łamach pism zacięta polemika. Młodzi pozytywiści umieszczali w „Przeglądzie Tygodniowym" swe artykuły, którymi chcieli udowodnić błędność twierdzeń przeciwników.

W tej epoce kończył w Lublinie gimnazjum Aleksander Głowacki (Bolesław Prus). Młodzież ówczesna żywo interesowała się socjologią, ekonomią i filozofią; nie marnowano czasu nadaremnie, gdyż uważano pracę za jeden z najważniejszych obowiązków, jakie życie nakłada. Z tym prądem młodzieży poszedł także równym krokiem młody Prus. Po ukończeniu gimnazjum, wstąpiwszy na wydział matematyczno-przyrodniczy i filozoficzny w Szkole Głównej, oddaje się także pracy literackiej. Pisze często artykuły do „Przeglądu Tygodniowego"; w jednym z numerów w artykule p. t. „Nasze grzechy" zarzuca ówczesnemu społeczeństwu próżniactwo, życie nad stan, odsuwanie się od handlu i przemysłu oraz brak wytrwałości w dążeniu do celu. Nie chcąc ażeby posądzono go o puste, gołosłowne i czcze wyrazy, sam pracuje w warsztacie jako zwykły robotnik. Po pewnym czasie powraca Prus do swej dawnej pracy, a w pismach zaczynają się ukazywać jego „Kroniki tygodniowe", które zyskały autorowi wielu zwolenników. Również jego obrazki i szkice przyczyniły się do rozsławienia jego imienia; w tych ostatnich oprócz humoru i realizmu w przedstawianiu osób można zauważyć głębokie myśli, które przyświecały autorowi i wskazywały drogi postępowania polskiemu społeczeństwu. W swych pierwszych utworach zajmuje się głównie Prus ludźmi, którzy cierpią w niedoli i tym wzbudzają w czytelniku współczucie. Osoby są nakreślone żywo i plastycznie, a zwroty w ich mowie oraz znamienne cechy charakteru są godne uwagi. Prus także współczuje tym biedakom, których okrutny los maluje, jednak nie stara się upiększyć ich charakterów; przedstawia stosunki ludzkie tak, jak rzeczywiście zdarza się w życiu. Z pewnością każdy współczuje Jankowi z „Sierocej doli", a także do głębi jest wstrząśnięty tragedią bohaterki przy czytaniu „Anielki".

Bolesław Prus był świadkiem niemieckiej kolonizacji na ziemi wielkopolskiej i pomorskiej; patrzał na to ze zbolałym sercem, gdyż zdawał sobie z tego dokładnie sprawę, że ziemia ta, polska od wieków, wskutek naporu i przemocy Niemców może nam bezpowrotnie przepaść. Dlatego też napisał powieść p. t. „Placówka". Bohaterem tej powieści jest chłop polski, Ślimak, który odznacza się wielkim przy-

wiązaniem i gorącą miłością rodzinnego skrawka ziemi. Nie przedstawia Prus Ślimaka jako roztropnego i mądrego chłopa, gdyż to byłoby niezgodne z prawdziwym stanem rzeczy, lecz daje mu prawdziwe rysy chłopa polskiego, który swym rozumowaniem i prowadzeniem gospodarstwa bardzo różni się od przybyłych kolonistów niemieckich. A jednak ten nieoświecony chłop okazał się bohaterem, stał się większym patriotą niż właściciel dworu, który swą ziemię sprzedał Niemcom. Ten chłop polski pokazał wielką siłę woli pomimo wielu nieszczęść, jakie spadły na jego barki; żona podtrzymuje go w chwilach depresji duchowej i chłop polski w walce z Niemcami o polską ziemię wychodzi zwycięsko; ten chłop, o którego kulturę wcale nie dbano, był szermierzem w walce o polskość ziem zachodnich. „Placówka" jest powieścią chłopską; poznajemy z niej życie chłopa, jego mentalność, zamiłowania i zapatrywania. Oświaty dla ludu — nawoływał Prus w „Placówce" — bowiem bardzo wielkie korzyści mogła przynieść współpraca oświeconego ludu z resztą społeczeństwa. Chłop polski nie był skażony złymi wpływami obcymi, jedynie jego stan kulturalny wymagał szybkiego wydźwignięcia w górę.

Bardzo dobitnie i wyraźnie przedstawił Prus społeczeństwo polskie, równocześnie z nim żyjące, w najlepszej swej powieści p. t. „Lalka". Widzi tam czytelnik wszystkie warstwy społeczne, a więc arystokrację, bogate i średniozamożne mieszczaństwo, kupców, subiektów, wyrobników... Świetnie są przedstawione stosunki społeczne po powstaniu r. 1863, kiedy Niemcy ulegają polonizacji, a żydzi zrywają wyraźnie z polskością. Przedstawicielem pokolenia ustępującego jest zwolennik Napoleona, marzyciel romantyczny, stary subiekt Rzecki. W pamiętnikach jego jest z dużą wyrazistością przedstawione pokolenie, które już zeszło ze sceny dziejowej i musiało ustąpić miejsca innym, pomimo, że ono walczyło o wolność narodów, wierząc w ludzką sprawiedliwość. Rzecki wszędzie dopatrywał się polityki, chociaż sam doznał już niejednego gorzkiego zawodu i rozczarowania z tego powodu. Głównym bohaterem powieści jest Wokulski, lecz nie jest to pełny przedstawiciel pozytywistów, gdyż posiada jeszcze cechy pokolenia romantycznego. Jest on wielkim działaczem społecznym, wciela w życie hasło „pracy od podstaw", lecz w miłości podobny jest do Mickiewiczowskiego Gustawa i właśnie ta miłość staje się powodem jego klęski. Budzenie się socjalizmu, ospałość arystokracji i stosunki polsko-żydowskie są bardzo interesująco w powieści przedstawione. Wiele humoru wnoszą sceny opisujące życie studentów w kamienicy Łęckich oraz pamiętniki starego subiekta. W całej powieści jest wiernie przedstawiona dusza społeczeństwa żyjącego około r. 1880. Można poznać ludzi, którzy byli naprawdę ideowcami oraz tych, którzy tylko szukali zarobków, zaspokojenia własnych ambicji i korzyści. „Lalka" jest wspaniałą powieścią społeczną i psychologiczną. — Oprócz „pracy od podstaw", wiele wówczas mówiono o emancypacji kobiet. Tej właśnie sprawie poświęcił Prus powieść p. t. „Emancypantki", gdzie jasno dowiódł, że emancypacja kobiet może jedynie wtedy dać dobre rezultaty, gdy zostanie przez kobiety odpowiednio pojęta. W powieści są przedstawione dwie grupy emancypantek; jedne czynią wiele dobrego, a nic o tym nie mówią ,a drugie przeciwnie, nic dobrego dla społeczeństwa nie czynią, a robią jedynie wiele hałasu na temat swej rzekomej pracy i krzywd, które dzieją się kobietom. Bohaterką powieści jest Madzia Brzeska, której głównym hasłem jest praca dla bliźnich; po dokonaniu wielu czynów, które świadczą dodatnio o jej charakterze, wstępuje do klasztoru. Społeczeństwo nie poznało się na jej wartości moralnej.

Także bardzo ważną w twórczości Prusa jest powieść p. t. „Faraon", gdzie autor przenosi akcję z nadwiślańskich pól nad brzegi szumiącego potężnie Nilu. Z wielką znajomością rzeczy przedstawia stosunki, panujące w starożytnym Egipcie, gdzie głównie kapłani posiadali wpływ na rządy w państwie. Cała ludność była przez nich wyzyskiwana i gnębiona. Przeciwstawia się temu młody Ramzes, który z powodu zlekceważenia wiedzy, pada zwyciężony podczas decydującej rozprawy. Jednak praca jego nie poszła na marne, gdyż jego marzenia o polepszeniu doli ludu zostały wprowadzone w życie po jego śmierci przez Herhora.

Oprócz powieści napisał Bolesław Prus wiele nowel; ostatnia z jego powieści p. t. „Dzieci", przedstawiająca stosunki w Królestwie Polskim w r. 1905, ma także dużą wartość.

Bolesław Prus zajmuje poważne stanowisko w polskiej literaturze powieściopisarskiej. Słusznie należy mu się miano „nauczyciela narodu" i „myśliciela". Głównym jego hasłem była Mickiewiczowska m y ś l : „W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele". — Chciał on przerobić Polaków na pokolenie bohaterów, do których małość, pycha i skąpstwo nie miałyby dostępu.

Dnia 19 maja 1912 r. całe społeczeństwo polskie zostało do głębi przejęte wieścią o śmierci Bolesława Prusa; w kilka zaś dni później wszystkie warstwy społeczeństwa brały udział w jego pogrzebie na Powązkach. Pogrzeb ten był manifestacją narodową. — My, młodzi Polacy, nie możemy zapomnieć o Nim, chociaż już 25 lat mija od Jego śmierci. Duch Jego winien wśród nas żyć, a wskazania Jego, rady i przestrogi powinny nam przyświecać w teraźniejszym i przyszłym naszym życiu.

K. Król. G. P. R. T.

Praca — przekleństwem i błogosławieństwem i człowieka.

Świat wymaga od wszystkich ludzi pracy, dając im w zamian możność utrzymania się, spełnienia ich planów. Praca ta może być dla człowieka błogosławieństwem lub przekleństwem, zależnie od jego osobowości, rodzaju pracy i warunków towarzyszących jej.

Najważniejszą rolę w ustosunkowaniu człowieka do pracy gra jego charakter i światopogląd. Można to wykazać najlepiej na przykładzie człowieka-ideowca, poświęcającego się niepodzielnie pracy dla wcielenia idei w życie. On widzi ciągle przed sobą wytknięty cel i stara się do niego zbliżyć. Może tego dokonać tylko i jedynie przez pracę, to też jest ona dla niego podstawą, fundamentem mocnym, na którym wspiera się budowla życia, piękna i trwała. Budowla może się wznosić wysoko, aż do wysokości, że gmach nie runie.

Ideowiec znajduje w pracy najlepszego przyjaciela, niezawodnego i bliskiego. Praca-przyjaciel realizuje jego plany, wypełnia zadania jego życia. Czym więc jest dla niego? Wielkim błogosławieństwem!

Podobnie rzecz ma się z pracą „dla chleba“, zgodną z powołaniem człowieka. Jeżeli coś odpowiada charakterowi i poglądom człowieka, czyli jest zgodne z jego dyspozycjami psychicznymi, jest jednocześnie dla niego przyjemne, czyni go szczęśliwym i zadowolonym. To samo zjawisko obserwujemy, gdy człowiekowi odpowiada wykonywana praca, choćby była nakazana i przymusowa. Nie czuje wtedy zmęczenia, niedogodności, praca absorbuje całego człowieka, jest dla niego rzeczą nadzwyczaj przyjemną i pociągającą. Znajduje on w niej zaspokojenie swoich pragnień, sposobność wyładowania sił żywotnych, wykazania swych zdolności i wykorzystania ich dla swojej i bliźnich korzyści. Człowiek szlachetny odczuje poza tym radość z wykonanego zadania, z wypełnienia obowiązku. Praca taka jest szczęściem możliwym do osiąginęcia, jest więc błogosławieństwem.

Identycznie przedstawia się kwestia pracy nadobowiązkowej w dziedzinie pociągającej człowieka. Ma ona może nawet większe znaczenie dla jednostki, bo pozwala jej na najlepsze wykorzystanie posiadanych zdolności, nie krępując jednocześnie wolności poczynań, co jest wielkim przywilejem.

Tak w pracy obowiązkowej, odpowiadającej człowiekowi, jak i w pracy nadobowiązkowej człowiek rozwija się duchowo i fizycznie, względnie w jednym tylko kierunku. Ten fakt decyduje o nieocenionej wartśoci pracy i znaczeniu jej dla ludzkości. Naczelnym przecież zadaniem człowieka jest ciągłe wznoszenie się wzwyż, dążenie do osiąginęcia jeżeli nie doskonałości, to chociaż pewnego stopnia zbliżonego do niej. A jeśli praca pozwala mu doskonalić się, zdobywać coraz nowe wartości, jeżeli jest jego dźwignią, to należy ją tylko błogosławić i czcić, bez względu na jej wartość objektywną. Dla uczonego odpowiednią będzie praca naukowa, dla robotnika praca w fabryce. Ale tak jedna, jak i druga może zadowolić pracowników i pozwolić im na podniesienie ich poziomu umysłowego lub sprawności fizycznej.

Wielkim błogosławieństwem jest praca dla człowieka smutnego, zawiedzionego, względnie wytrąconego z normalnego biegu życia.

Taki człowiek nie uspokoi się wśród ludzi wesołych, ani w zabawie, może omamić się, oszukać siebie, że jest szczęśliwy, ale tylko na chwilę. Potem, gdy ludzi zbraknie lub nawet wśród gwarnej zabawy, jedna myśl smutna wytrąci go z równowagi, pogrąży w otchłań smutku. Jedynym ratunkiem jest praca. Początkowo wymuszona; powoli zajmuje człowieka, pociąga go, pochłania jego smutek, przynosi zapomnienie wraz ze znużeniem. Natężenie smutku zmniejsza się, a po kilkudniowej „kuracji“ człowiek odzyska spokój.

Jak widzieliśmy, praca jest błogosławieństwem w wielu wypadkach, ale, niestety, nie zawsze. Mamy kilka sytuacji, w których praca jest dla człowieka przekleństwem. I teraz wyjdziemy od osobowości człowieka.

Przekleństwem jest praca dla każdego człowieka nie posiadającego celu w życiu. Jak już wykazaliśmy, praca rozwija człowieka.

Nie będzie to dostatecznym argumentem dla przekonania o wartości pracy człowieka bezideowego. On nigdzie nie dąży, an nie potrzebuje „rosnąć“ — on wegetuje, „używa dnia“. Praca go tylko znuży, zajmie mu czas, który mógłby obrócić na rozrywkę. Nie zna on żadnych zobowiązań względem siebie, ani względem innych, więc praca jest dla niego przekleństwem.

Niemiłą jest dla człowieka praca nie odpowiadająca mu, a obowiązkowa. Fizycznie i duchowo człowiek czuje się nieszczęśliwy. Praca stanęła mu na drodze do zdobycia szczęścia, więc czuje do niej nienawiść.

Przekleństwem jest dla człowieka szlachetnego praca nad siły, której nie może podołać. Chciałby spełnić należycie obowiązek, a siły mu nie pozwalają. Sumienie nie daje mu spokoju, wytrąca go z równowagi duchowej i w końcu człowiek znienawidzi swą pracę.

Z podobnych przyczyn przekleństwem jest dla człowieka praca bezowocna. Czuje on, że siły jego idą na marne, że męczy się strasznie dla niczego, dla mrzonki czyjejś lub własnej. Marnuje się, choćby mógł pracować pożytecz-

nie na innym polu. Praca, którą wykonuje, jest przekleństwem.

Biorąc ogólnie praca jest błogosławieństwe, a staje się przekleństwem w warunkach nienormalnych.

B. K. G. P. H. S.

Czy wszyscy się zgadzamy?

„Mickiewicz a my“.

Dość wyraźnie wystąpiła w ostatnim numerze „Świata Szk.“ pewna grupa „jednomyślnych kolegów“, krytykując „*jałowie*“ (a nie jałowość) dzieł Mickiewicza. Niesłusznie postąpiła ona z naszym Wieszczem, odrzucając z góry jego idee i myśli i odgradzając się od nich „chińskim murem“ stulecia. Nie podając ani jednej idei, odrzucili wszystkie. Dziwne to jest i inaczej nie może być nazwane, jak chęcią wypłynięcia na wierzch frazesem, lub pięknym słowem. A frazesów tych jest wiele. Zamieszczam najbardziej charakterystyczne:

„Zmieniły się czasy, zmieniły się dążności, ideały i hasła“ (Jakie, koledzy?), a dalej: „My idziemy naprzód, wciąż oddalamy się“ (gdzie idziemy i od kogo się oddalamy), a potem z patosem: „Mickiewicz zawsze będzie nieśmiertelnym wirtuozem słowa i tym, który popchnął naszą literaturę na lepsze tory, ale przecież nie możemy zapalać się do idei i marzeń — już spełnionych lub nigdy nie mających się spełnić“. To ostatnie zdanie jest najcharakterystyczniejsze. My, Polacy, często lubimy rozwiązywać zagadnienia a priori i mówić *tak lub nie*, a potem rozwijać i udowadniać. Tu tkwią początki dyletantyzmu i ukochania pięknego słowa — a nie prawdy. Bawimy się słowami i błyszczymy nimi, np.: „Zamieszanie polityczne, gospodarcze i społeczne czyni atmosferę niespokojną i nerwową. I jak się tu zdobyć na dłuższy spokój, który konieczny jest do głębszego poznania twórczości Mickiewicza?“ (Słowa, słowa, słowa).

Grupa kolegów krytykując dzieła poety nazywa wszystkie jego idee jałowymi (nie aktualne), ale równocześnie przyznaje się, że: „Błądzimy w bezideowości naszego życia i szukamy bezskutecznie celu wzlotów, a przecież tam, w tych stuletnim mchem pokrytych dziełach nie znajdziemy go. Nie szukajmy go zatem“ (a dlaczego, czyżbyśmy obawiali się je znaleźć?) I mówicie, że postępujecie, że oddalacie się.

Nie! koledzy! nie przeszliśmy jeszcze linii ideałów mickiewiczowskich — nie doszliśmy do nich. Idea „Królestwa Bożego na ziemi“ nie zrealizowana. To Mickiewicz nas wyprzedził — to on oddalił się od nas, aby nas podciągnąć wzwyż. Nas — cały Naród. Tak pisze o naszym Wieszczu Wasilewski: „Mickiewicz i Naród posiedli się wzajem“. Zaprawdę on jeden może to o sobie powiedzieć, co wyśpiewał w improwizacji:

„Ja kocham cały Naród — objąłem w ramiona
wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec,
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić.“

Nie mówi tego, ażeby popisać się słowem, ale żeby naród go zrozumiał

„Ja i Ojczyzna to jedno —
Nazywam się milion — bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.“

Mickiewicz „objął wszystkie przyszłe pokolenia“, dał im misję wielką — Apostolstwo Wolności i Królestwa Bożego na ziemi. Jakaż może być większa i świętsza od tej idea?

Gdybyśmy ją zrozumieli i ukochali, nie „błądzilibyśmy w bezideowości naszego życia“. — Sięgnijmy więc do tych „stuletnim mchem pokrytych“ dzieł poety. Pamiętajmy, że skarby nie leżą na wierzchu, lecz we wnętrzu ziemi. Idea „Królestwa Bożego na ziemi“ nie może być utopią — bo jest przyrzeczona i przepowiedziana przez Chrystusa. Nie jest więc ona całkiem oryginalna. Ale dlatego właśnie Mickiewicz szeroko ją omawia i wskazuje drogi i środki, służące do jej zrealizowania. Poucza więc Naród, któremu misję tę powierzył — czym jest cywilizacja chrześcijańska — że jest to poświęcenie się obywatela dla Ojczyzny swej i dla ludzkości. Daje Mickiewicz chrześcijańskie pojęcie urzędu: „Urząd według Chrystusa był to krzyż, na którym człowiek dobry dawał się przybijać i męczyć dla dobra bliźnich“. A „Nauka — to słowo boże, chleb i zdrój życia“ (Ks. N. i Piel. polskiego). Nie przestarzały się i nic ze swej watości nie straciły takie przypowieści, jak ta, która uczyła, że zasługa dla Ojczyzny jest jako ziarno, (kto je obnosi i nim się chwali, nic z ziarna nie otrzyma, a kto zakopie ziarno w ziemi, tedy wyda roślinę.) A jeszcze jedna prawda: „O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice“. A przypowieść pouczająca, żeby do Matki-Ojczyzny przystępować z miłością syna, a nie z radami lekarza. Są więc prawdy narodowe i ogólnoludzkie, które dziełom i poecie zapewniają *trwałą wartość*.

Przejdę jeszcze do drugiej sprawy, odpo-

wiadając na następujące zdanie: „Szukamy dróg ziemskich i szczęścia ludzkiego na ziemi, nie szukajmy tego zatem w dziełach Wielkiego Romantyka.“ Dlaczego? Czyżby nowe niezrozumienie? Przecież rozwiązania tych zagadnień szukał Poeta-romantyk przez całe swoje życie.

A „Oda do młodości“, „Farys“.

To on kazał „zestrzelić myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy.“ On wskazał wspólny cel, który da się osiągnąć duchem poświęcenia i wyrzeczenia się egoistycznych zamiarów.

„Razem, młodzi przyjaciele,
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“.

W tych dwóch utworach daje nam ideał człowieka-obywatela i człowieka-bohatera. Nie brak więc aktualności i wielkich wartości poematom Mickiewicza. (Chcę zaznaczyć, że tematu swego nie wyczerpałem całkowicie — podkreśliłem tylko najważniejsze idee lub te z myśli, o których brak posądzono poetę.) Na podstawie jednak i tych wywodów wolno mi powiedzieć, że Mickiewicz jest wieszczem dzisiejszym i prorokiem Jutra przez swą twórczość *narodową* (par excellence) i ogólnoludzką. — I jako taki powinien wpływać na kształtowanie naszego poglądu na świat i życie. Stosunek do Mickiewicza, to stosunek do spraw narodowych, od których nie wolno się nam odgradzać i oddalać. Realizacja idei mickiewiczowskich, to postęp i najwyższa cywilizacja narodowa i ogólnoludzka. Mickiewicz bowiem przez naród zdąża do ludzkości.

J. R. G. P. R. T.

Ludzie bezdomni.

Na wstępie wypada mi podziękować Wam, kol. Wicz, za tak zaszczytne miejsce „na laurach“. Ha, trudno — przyjmuję. Zawsze mawiałem: Pessimum genus inimicorum laudantes. Nie chcę jednak, abyście się czuli zwyciężonym — raczej przekonanym, że upór Wasz wynika nie ze złej woli, ale z nieświadomości lub z niewiedzy. Z tego powodu jestem zmuszony wyświetlić zarzuty, jakie stawiacie dr. Judymowi. Pragnę, abyście zdali sobie sprawę z tego, że dr. Judym jest doktorem, ale nie tym, który traktuje swój zawód jako giełdę — jest społecznikiem, który zawód swój pojmuje jako misję i kapłaństwo. Celem więc życia tego kapłana i społecznika jest niesienie ulgi i pomocy warstwom najbiedniejszym. — Dr. Judym to lekarz najbiedniejszych. To jest jego cel, któremu się poświęca. — Ideał, który obmyślił, opracował i ukochał — a wreszcie *zrealizował.*

Dr. Judym założył szpital w Cisach i stał się jego kierownikiem bezinteresownym, niosąc pomoc lekarską najbiedniejszej ludności wieśniaczej. Gdzież więc utopijność celu? — Prócz tego *pragnie* dr. Judym, aby każdy lekarz był apostołem higieny wśród ludności biednej — podobnie jak sam się nim stał. Jest to więc *pragnienie*, a *nie cel* życia dr. Judyma — jak kol. Wicz. sądzi.

Pragnienie jego natrafia na opór, mało, reakcję ze strony lekarzy, którzy niegdyś byli podobnymi reformatorami, ale obowiązki względem rodziny, troska o wychowanie dzieci i dobrobyt materialny zabiły w nich ten altruizm i heroizm. Skarłowacieli, spodleli i nic dziwnego, że widząc własną młodość i zapały uosobione w postaci dr. Judyma — czują głos sumienia społecznego — i, aby go zdusić — chcą przeciągnąć dr. Judyma na swą stronę. Jest on bowiem dla nich ciągłym krzykiem krzywdy społecznej — jest kamieniem społeczeństwa, który w nich godzi — za niespełnienie zadania i obowiązku swego zawodu. I oni (podobnie, jak Wy, kolego Wicz) odmawiają wartości realnej ideałom.

Wracając jeszcze do walki dr. Judyma ze „społecznością lekarzy“ — trzeba tu zwrócić uwagę na wprowadzenie przez autora zagadnienia przejętego z Ibsena — kwestii „walki jednostki z tłumem“; naturalnie Żeromski nadaje jej kolor i tło lokalne. Nie świadczy ta walka o utopijności celu, który zresztą polega na czym innym, jak już wyjaśniłem. Jest to ze strony dr. Judyma pragnienie uczynienia lekarzy prawdziwymi społecznikami i kapłanami. Jest to pragnienie podobne do tego, jakie ma dobry katolik, gdy chce być lepszym: sam pracuję nad sobą, ale pragnie też, by inni byli lepszymi, a wtedy i jemu łatwiej byłoby być lepszym. Nie utopijne więc, ale konkretne cechy zawiera cel dr. Judyma.

Co do sceny z balkonem, „przykładu wziętego z życia“, to nie wiem, czy jest on naprawdę „życiowy“, gdzież więc jego prawdziwość oparta na doświadczeniu? a zresztą cóż z niego można wywnioskować? Przejdźmy do innego zdania: „postawienie na nogi szpitala w Cisach zbliżyło dr. Judyma do celu. Ale przecież zbliżenie do czegoś nie wyklucza faktu, że coś jest dla człowieka nieosiągalne.“ Hm! Ale nie wyklucza również faktu, że „to coś“ jest dla człowieka osiągalne (dylemat cornutus, kol. Wicz.). Gdzież logika, Czyż można zbliżać się do czego, co jest utopią — czegoś, co nie istnieje w rzeczywistości? (Absurd. — Prawda?)

Co do „bezdomności“, to autor rozwiązał ją. Zdaniem autora, dr. Judym musi wyrzec się osobistego szczęścia „własnego gniazda ro-

dzinnego, w nim bowiem spala się idea altruizmu na rzecz filisterskiego sobkostwa“.

„Nie mogę mieć ani ojca, ani matki — mówi dr. Judym — ani żadnej rzeczy, którą bym z miłością przycisnął do serca. Muszę wyrzec się szczęścia, muszę być sam jeden“. Literatura i życie daje nam wiele przykładów, stwierdzający słuszność tego zdania. Weźmy postać Bera Ezofowicza (z dzieła Orzeszkowej), walczącego o lepszy byt, oświatę i poprawę doli żydów; walczy on póty, dopóki się nie ożeni, potem handel i pieniądze, obowiązki względem rodziny zajęły go niepodzielnie. Jaką rolę spełnia małżeństwo i jaką przypisuje mu rolę Saul, dziad Meira? — można łatwo wywnioskować, że przez nie właśnie pragnie on Meirowi przeszkodzić w pracy społeczno-narodowej.

Matuszewski w swych „Studiach nad Żeromskim i Wyspiańskim“ bardzo wyraźnie mówi o bezdomności społeczników — i tego uważa za społecznika i kapłana — kto może powiedzieć wraz ze Słowackim

„żem prawie nie znał rodzinnego domu,
żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
przy blaskach gromu.“

Jakżeż jednak niewielu jest takich, jak dr. Judym, który szczęście własne poświęca dla dobra ogółu. Dr. Judym *to bohater* i nie wolno nazywać Go ani maniakiem, ani wariatem.

Ar-Ot. G. P. R. T.

DYSKUTUJEMY!

(URBANISTYCZNY PRZYKŁAD... OJ ZIELONO! ZIELONO!).

Dyskusja toczona na łamach „Świata Szkolnego“ przybiera coraz ostrzejszą formę. Temperatura rośnie. Słupek rtęci dawno przekroczył kreskę zdrowego rozsądku. Kłócą i wodzą o rzeczy dobre, a sypią przykładami i przypowieściami niby prorocy Izraela. Szczyt rozczochranej fantazji wykazał kol. Wicz. Gdy przeczytałem jego odpowiedź na odpowiedz Ar-Ota, nie tylko krzyknąłem „kilka O z odpowiednimi wykrzyknikami i pytajnikami“ nad zarozumialstwem kolegi, ale po prostu parsknąłem śmiechem. Moja fantazja, pobudzona urbanistycznym „przykładem z życia“ zaczęła pracować w szybszym tempie. I już na ekranie mojej świadomości zjawiła się ogromna kamienica z damą, wychyloną z balkonu trzeciego piętra i wyciągającą ramiona do stojącego na chodniku młodzieńca. Młodzieniec ów śpiewa serenadę i podskakuje do balkonu trzeciego piętra, chcąc się dostać do swego ideału. Gdyby ów młodzian miał zdrowy rozum, to by poszedł schodami lub pojechał windą, lecz tak nie można! Autor koniecznie potrzebuje wariata, który musi skakać, bo gdyby było inaczej, to każdy krok po schodach zbliżyłyby go do ideału, a więc dr. Judym przez zakładanie szpitali zbliżałby się do celu i nie byłby maniakiem, a co za tym idzie cały misterny dowód kolegi był by upadł. Zaiste przypowieść urbanistyczna wspaniała i to z życia (chyba kolegi, gdyż wątpię, czy kto inny skakałby do trzeciego piętra), a ma tę zaletę, że wywiera przeciwny skutek. W ogóle to wszystko jest zawiłe. Albo ten tytuł „Białe i czerwone“. Dlaczego białe i czerwone? rozumiem żółte i zielone. Żółto — to już blisko żółtodziób, a zielono bywa w głowach i w polu, a czasem przed sklepem i w ogóle kolor modny. Chciałem jednak rozwiązać zagadkę. Dlaczego białe i... Zagadki nie rozwiązałem, lecz znalazłem jeden wspólny punkt dyskutujących.

Kol K. twierdzi, że prowadziliśmy wojny tylko obronne. A ponieważ wiemy z historii, że najlepszą obroną jest atak... (kol. z tym się zgadza) atak — to przecież ekspansja narodowa — a ekspansja to imperializm. Więc o co się spieracie, kochani dyskutujący? Jasne przecież, że aby nie być połkniętym przez wroga, trzeba samemu tego wroga połknąć.

Więc, kochany Tadziku, o co się kłócisz, po co te „białe i czerwone“, kiedy z tego się zrobiło zielone. I kolor ten zaczął skakać wściekle do balkonu. Nie! zaraz! — kolor skacze, czy ten młodzieniec? nie widzę dobrze. A tak, to ten młodzian. W ogóle skoczył wysoko Boże! spada na głowę... skręcił kark...

A jednak on ma głowę! wprawdzie zwichniętą, ale ma, a ja zawsze dotąd widziałem tylko czarny daszek — biały szalik i zabójczo czarne (?) wąsy.

Z. Z. G. P. R. T.

---

* * *

W...

Słowa rzucone w mrocznię rozproszą chmury nad głową...
Trzeba paść na kolana, błogosławić mówiące usta —
Od dziś popłynie życie rozłkane uśmiechem nowym,
Daleko, daleko za mną została milcząca pustka...
Na morza koralowe dziś yachty kieruje sternik,
Będziemy śpiewać pieśni o południowych wichrach —
John z wyspy Palm nie pójdzie już do portowej tawerny,
Bo nigdy nie było przybysza — atoli pozostał cichy...
Popłyną długim szeregiem godziny dawnej baśni —
Będziemy razem zapadać w marzące, senne zmierzchy,
Wokół rozsnuje się cisza, a w duszy nieznana jasność...
Cienie nad lotosami zniknęły wyznanym grzechem.

T. K. G. P. H.

Z NAD POLA.

Kiedy pierwsze zorze ozłocą szafirowe niebo, na potrójny sygnał kogutów odzywa się dźwięczną pieśnią pole. Pieśń radosna leci z podmuchem chłodnawego wietrzyka znad każdego zagona, znad świeżo zaoranej roli i zieleniejących się miedz. Owe pieśni pojedyńcze zlewają się w jeden potężny akord, zdaje się, że całe rozśpiewane pole zbliża się do wsi — budzi ją.

To śpiewają skowronki.

Trzepocąc szarymi skrzydełkami, wznoszą się aż pod chmury i, ukryte w lazurach, niewidoczne dla oka wydzwaniając swą pieśń, chwalą Stwórcę.

A gdy słońce muśnie po raz pierwszy złotymi promieniami wierzchołek rozpostartej na miedzy, sędziwej gruszy, co stróżem tych pól i ojcem jest, tu i ówdzie zatrzepoce skrzydłami czajka, zamigoce białym piórkiem i żałosnym, tęsknym głosem wita gospodarzy, co krętą dróżką wyjeżdżają do pracy.

Ten z bata strzeli, że aż echo niesie trzask po rosie, ów z odkrytą głową zanuci drżącym głosem „Kiedy ranne“, tamten cmoka na konie, a chwilami wszyscy jadą cicho, że z oddali słychać klekoczące koła i szmer piasku przesypującego się między szprychami. Wnet lśniący lemiesz zgrzytnie i stęknie po kamieniach lub z sykiem odwali czarną skibę, a za jego głosem zjawią się towarzyszki — wrony.

Z krakaniem i półobawą zerkną na siwka, na chłopa, czy czasem lniany rękaw nie schyli się po kamień, oglądną odwaloną skibę i poważnym krokiem podążą bruzdą. Tylko niekiedy głos zadowolenia wymknie się z szerokiego gardziołka, gdy smaczny pędrak nawinie się w pobliżu.

Ale i słońce już cały świat zalało, pijąc chłodną rosę po drodze. Na olszynach przy strumyku kłócą się krzykliwym głosem szpaki, goniąc się nawzajem z drzewa na drzewo.

A struga szemrze swym niezrozumiałym głosem, bulgocze na zakrętach i ucieka, byle prędzej, byle prędzej.

Zeszłoroczne, zeschnięte trzciny szeleszczą smutnie, trąc się o siebie. W kałużach przybrzeżnych żaby chlapoczą, że kropłe, niby perły rozpryskują się na wsze strony.

Pod krzyżem, na rozstajnych drogach siedzi staruszka z dwojakami i zmęczona oddycha szybko ustami, że aż te litościwe brzozy spuszczają miłosiernie ramiona, roniąc łzy z zielonkawych pączków bezszelestnie.

W szczelinie krzyża brzęczą pszczoły — dzikie pszczoły. Dobrze im tu. Szeregami chodzą w różne strony, odfruwają na pole, przychodzą z powrotem i dziwią się, że słońce już tak wysoko.

Skowronki śpiewają, rżnie pług czarne skiby, szemrze strumyk na zakrętach, tylko czajka ucichła i szpaki odleciały. Brzoza też spuszcza swe ramiona, tylko nie płacze, bo słońce łzy wypiło.

Znad błonia dolatują krzyki staruch-gęsi, co pierwszy raz wyprowadziły swe młode. Prostują skrzydła, płuczą zimowe brudy w rzece i głośnym sykiem odpędzają zbliżających się przechodniów.

Ode wsi gdzieś szczekanie psa doleci, co na żyda ujada lub wrzaski dzieci bosych, wygrzewających się na słońcu.

Południe. Skowronki nieco ucichły, nie zorane pole czeka na pług.

Tylko pióra żyta zdają się ruszać i — rosnąć. Znad strugi płynie zapach „palmy“ rozwiniętej. Przez most idą krowy do domu. Pole odpoczywa. Jeno długonogi bocian zwiedza stare śmiecie. No, bo ich długo nie widział. Inny zbiera zeszłoroczne badyle i leci z nimi ku wsi — na gniazdo. Ale gdy słońce przejdzie na drugą stronę nieba, pole ozwie się znowu. Zagony zaczerwienią się zapaskami, zabielą sukmanami. Rozgwarzą się gadatliwe baby i zadźwięczy piosnka wesoła. To sadzą ziemniaki.

Na górce, pod lasem powstał obłoczek kurzu. Wydłuża się, rośnie. To dwa szaraki, doczekawszy się wiosny, figlują dowoli.

Po drodze chłopak ciągnie na sznurku krowę. Pogania rozluźnione zwierzę, co łakomie zagarnia językiem świeżą trawę. Przy wierzbie zaś, chłopiec wymawia rytmicznie słowa, robiąc piszczałkę.

Wyliń mi sie piscołecko,
Dom ci grosik i jojecko,
A jak mi się nie wylinis,
To cie rzuce pod płot
I zje cie bury kot .

Potem zaś raz cieniej, raz grubiej dźwięczy wierzbowa piszczałka.

Pod wieczór przeleci często stadko kaczek, gubiąc zielono-czarne pióra.

Gdy znów po raz drugi zapłoną zorze, uciekną skowronki, ludzie zejdą z pola — cała okolica zda się oddychać snem odpocznienia.

J. Br. G. P. H. S.

Dzisiejsza młodzież.

Siedzieli na ganku u mnie wszyscy — był Rafał i Włodek, Renata i Mira, Janka i Olek. Było parno — nadchodziła burza. Z ogrodu dochodziło nierówne cykanie świerszczy, a chwilami wiatr przynosił zapach maciejki i poszum liści i traw. Było już zupełnie ciemno. Księżyc przepływał między chmurami, zanurzał się w nie i wypływał znowu. W jego niepewnym świetle można było chwilami dostrzec prężące się na

ścianie pachnące groszki, czasem długie nogi Rafała siedzącego na poręczy, czasem bladą twarz Renaty.

Pierwszy zaczął mówić Włodek — z najciemniejszego kąta ganku dobiegał jego zdławiony wzruszeniem głos. Mówił o sobie i o nas, o tym, że stracił wiarę w siebie i w życie.

— „Czym jest nasz wspólny wysiłek, nasze poglądy wobec obecnego zbydlęcenia i chamstwa? Cóż my potrafimy zrobić? Jaką wartość mają wobec tego te nasze codzienne dyskusje, burzliwe walki o wszechświat, nauki i poglądy? Czy nie lepiej puścić to wszystko kantem, czy nie lepiej upić się raz i to dobrze i starać się zapomnieć o istnieniu całego świata?"

Było parno. Z ogrodu dochodził słodkawy zapach maciejki. Nikt z nas nie poruszył się. Rafał tylko mruknął jedno słowo: „Cymbał". A Włodek mówił dalej, że nie może dłużej tego znieść, że nie potępia już teraz tych bawiących się i tańczących lalusiów — to może jedno, co jeszcze zostało. Po cóż więc dalej walczyć?

I wtedy odezwał się Rafał. Mówił wolno, z wysiłkiem i widać było, że ledwie się może pohamować. Czy to, że ktoś źle robi jest powodem, abyśmy też źle robili? Cóż z tego, że dużo jest głupoty i kołtuństwa — dawniej było może więcej. Cóż z tego, że wzrasta drugie pokolenie, które pragnie wojny? Cóż z tego, że wartość człowieka została sponiewierana? Idioto! — krzyknął — zapominasz o rzeczach najważniejszych. A ilu już ludzi młodych całego świata święci corocznie „Dzień dobrej woli", dzień pojednania, podania sobie rąk przez granice wszystkich państw, przez morza i lądy? — czyż to nic nie znaczy? A czy powitanie nas przez Hindusów na statku nie było najlepszym dowodem ludzkiego zrozumienia się i pojednania? Cóż z tego, że dużo jest ludzi głupich i złych? — po prostu nie wiedzą oni wielu rzeczy, które my wiemy, nie wiedzą, że sponiewieranie godności ludzkiej jest ohydą, bo ich nikt nigdy nie sponiewierał i za to nie można ich winić, nie można się na nich obrażać i tracić wiary w życie i w siebie — trzeba ich po prostu nauczyć tych rzeczy, nauczyć swoim własnym postępowaniem. Cóż z tego, że wśród młodzieży jest tylu głupców? Czyż obok nich nie ma już ludzi myślących po ludzku, ludzi, którzy są ludźmi a nie bydlętami? „Widzisz — krzyknął znowu Rafał — ja wierzę, wierzę niezachwianie w ludzi i wierzę w tę dzisiejszą młodzież, o której mówisz z pogardą. Wszyscy ludzie są dobrzy, słyszysz? — nawet wtedy, gdy źle czynią."

Pierwsza błyskawica przekreśliła niebo zygzakiem. W jej świetle Rafał siedzący okrakiem na poręczy, wymachujący rękami i potrząsający rozwianą czupryną wydawał się jakiś inny, niż zwykle.

Ktoś szepnął: „Boże".

I wtedy zaczął padać deszcz. Ciężkie krople uderzały szelestnie o liście, opadały ze stukotem na dach, wybijały rytmicznie melodię przedziwną, melodię naszych serc.

A. T. G. P. J. S.

MIRAZE.

W...

W powietrzu wisiała ciężka, gorąca od południowego skwaru cisza. Żółtym, sypkim piaskiem biegły w dal brzegi ocienione kaskadą zieleni. W porcie życie zamierało. Opustoszały nadbrzeża i mola. Huczały zato gwarem i hałasem portowe knajpy.

John wyprężył się w ulewie południowego słońca i spojrzał na morze. Ani jeden statek nie wystrzelał nad szmaragdową, szumiącą leniwie toń oceanu, białymi skrzydłami żagli.

Mewy tylko polatywały nad spienionymi grzywami fal. Ciężar spiekoty płynął zwolna z wyżyn.

— Trzeba już iść — gorąco tu, jak w piekle! — Wyobraźnię Johna połechtała mile i podrażniła wrzawa, płynąca z otwartych, przycienionych tawern.

Otworzył oczy i dźwignął się leniwie z paki. Słoneczny blask oślepił go. Senność go ogarniała coraz większa. Z dali, z bezchmurnej dali nadpływała fala z tamtego, wczorajszego dnia. Można dowoli marzyć w złotym blasku półsennych, gorących południ.

Jest tak cicho.

Tak było wczoraj. Tak — ale — inaczej. Słońce było to samo, to samo niebo, morze, rozpalona biel betonowych kesonów. Tak, tak — tylko on, John był inny: nie był sam. Przy nim marzyła, pochylona nad nim, złocistooka, mała Ellen. Wiatr rozwiewał jej ciemne włosy i muskał nimi spalone na bronz policzki Johna...

Marzyli razem... Śniły się Johnowi dalekie, nieznane korale morza, plusk wioseł w cichej lagunie...

...Księżyc srebrzył bryzgi fal, uderzających o burty, palmy szumiały na brzegu... Ellen była przy nim, zasłuchana w mistyczny czar podzwrotnikowej nocy...

...Gwiazdy płonęły im nad głową i wyznaczały daleki rejs... Biały maszt trzeszczał cicho, opadły żagle bezwolne, a po falach goniły się błędne ogniki. Czar — niezapomniany czar dobrych dni...

...Czasem przechodzili nadbrzeżnymi ulicami, obok otwartych i uprzejmie zapraszających wnętrz tawern. Buchała z nich para alkoholu,

wrzawa, czasem odgłosy bójki — pieniące się, jak szampan, życie portowe. Brać marynarska odbijała sobie długie, samotne dni, spędzone na dalekich drogach. Po długich i nudnych wędrówkach, walkach ze sztormem — następowało odprężenie. Płynęło złoto — cały zarobek — Czekały nowe rejsy. Trzeba się było spieszyć.

Kiedy mijali owe miejsca uciechy i zapomnienia, w Ellen oczach pozłocistych czytał John niemą prośbę...

— Nie, on nie pójdzie tam nigdy!... Będzie składał dolary — kupią maleńki skrawek ziemi, ot tyle, by na palmową chatkę starczyło — kędyś wśród brunatnych Malajów, w zaciszu. Tam będą mieszkać: on i Ellen...

To jej przyrzekł...

...Potem — myśl się leniwie toczy. Tyle codzień przybija okrętów do portu, tyle odpływa, dni się toczą jeden za drugim; coraz ich więcej narasta i — barki gną się ku ziemi.

...Potem — John pamięta tylko tyle — przyjechał jakiś cudzoziemiec. Bogaty był, yachtem własnym wpłynął do portu. Chodził po nadbrzeżach w białym, flanelowym ubraniu i tropikalnym kasku. Twarzy John nie pamięta — tyle ich przesunęło się przed jego oczyma.

Kiedyś ów nieznajomy przybysz spotkał ich oboje: jego i Ellen. Johnowi nie podobało się, że za długo i tak dziwnie uporczywie patrzył na Ellen. Nie widział, że i ... Ellen odpowiedziała przybyszowi lekkim uśmiechem.

Dni biegły takie same, jak dawniej. Tylko coś się wdarło w jasną i cichą radość Johna. Jakiś zgrzyt. John to wiedział, czuł... nie mógł zaradzić...

Stawał się coraz nudniejszy, śmieszny... Rozmowy z Ellen rwały się, jak splątane nici...

Aż wreszcie pewnego dnia Ellen nie przyszła. Zaniepokoił się — może chora, może potrzebuje pomocy, opieki... Domek jej stał pustką — odeszła.

John powlókł się do portu. Jakiś statek podnosił kotwicę. Zabrzmiały ostro syreny. Kadłub począł się chybotać, ostry dziób rozkroił grzywy fal...

...Było tak samo upalnie, jak dziś... John spojrzał na statek. Na pomoście stały dwie osoby. Słońce padało wprost w oczy Johnowi. Przysłonił je ręką i spojrzał bystro.

Tam był nieznajomy i... Ellen...

Zrozumiał w jednej chwili, dlaczego nie przyszła. Zrozumiał wszystko. Chciał biec — rzucić się w morze i płynąć — byle patrzyć na nią. Yacht malał, zostawiając za sobą spieniony szlak... John nie mógł poruszyć się z miejsca. Patrzył długo, długo, boleśnie za odpływającym statkiem...

Nic nie myślał, czuł w tej chwili, że coś się w nim rozsypało, jak spalona na słońcu glina... Zgasło mu w oczach cudowne południe... Był sam.

Sezdł długo, długo, bardzo długo. Zmęczony osunął się na piasek...

W głowie czuł głuchy, tępy szum... oczy przesłaniała mu purpurowa mgła...

Wiatr szeptał mu nad głową, a do stóp przypełzła cicha gędźba fal...

. . . .

Głośniejszy gwar zbudził Johna. Przetarłszy oczy, dźwignął się z paki. W ustach czuł gorzki posmak. Splunął — jakby chciał wyrzucić z siebie wspomnienia.

Po co przyszły? Nie wołał ich, nie pragnął. Przyszły same. Po co?

Zlazł ze skrzyni, ziewnął i zapatrzył się w dal, na morze. Czy nie płynie tam kędyś biały yacht?... Nie ma nic... Tak, jak codziennie...

Trzeba iść do swoich, do kamratów, do zielonego stolika. John bał się wspomnień, bo były gorsze od najgorszego sztormu, gwałtowniejsze, niż tajfun.

Powlókł się w kierunku miasta, zwolna, noga za nogą.

Przed wejściem do jednej z tawern zatrzymał się. Zwid wracał... — Ellen prosiła: nie przychodź tu nigdy — łkało mu gdzieś w duszy... Ellen, Ellen... Ona była, była tylko snem. Nie ma już Ellen, nie ma dla kogo być dobrym, innym od „zalewającej się“ marynarskiej hałastry.

Z oddali nadpłynęły zasłyszane kiedyś słowa:

„...Od krwi gorące niechaj lata płyną,
Mocne snów wino niechaj wali z nóg
I niechaj nie wiem, jak się czarną gliną
Sypie dom duszy, gdy zeń wyjdzie Bóg!...“

Szarpnął się w nim płomień buntu. Nie ma już dla kogo — i tak będzie zawsze.

Jutro podpisze kontrakt z szyprem bylejakiej barki i popłynie na morze. Niech wichry spalą mu duszę do cna, niech go wychłoszczą burze — chce zapomnieć... Może zapomni...

Dzisiaj dzień jeszcze do niego należy. Jutro ocean poniesie go na swych mocarnych barach w Nieznane. — Więc jeszcze dzisiaj...

Miłymi dźwięki rozbrzmiewają mu w uszach gwary z wewnątrz.

Jazgot wre. Przed oczyma Johna wirują duże, czerwone koła. Wzrok zasnuwa mgła. — Ręka spoczywająca na klamce drży...

Silne pchnięcie drzwi — krok..

Pochłonął go gwar pijanych głosów i dźwięcząca przez siwe opary dymu smętna, hawajska piosenka...

T. K. G. P. H. S.



Urabiajmy charaktery.

Pewnego razu, w biały dzień, wyszedł mędrzec grecki, Diogenes, z zapaloną latarnią na rynek, gdzie koncentrowało się całe publiczne życie Ateńczyków, gdzie było mnóstwo polity-kujących, oczywiście ze sfer wyższych — i udawał, że bardzo skrzętnie czegoś szuka. Przystąpiło zaraz do niego kilku obywateli z zapytaniem: „Czego szukasz?“ — „Człowieka“ — odpowiedział. Pytający zdziwili się niezmiernie i rzekli: „Czyż nie widzisz ilu tu ludzi na rynku?“ Zaś mądry Diogenes odpowiada: „To nie ludzie, to zwierzęta, bydlęta; oczywiście dlatego, że będąc istotami z rozumem, nie żyją według rozumu, żyją, jakby bez rozumu, czyli, jak bydlęta“.

I dziś, jak się to mówi, „ze świeczką“ można szukać prawdziwego człowieka. Ludzi obecnej doby tymi słowy charakteryzuje Roman Dmowski: „Ludzie na ogół nie mają nic, coby ich prowadziło w życiu prócz bezpośredniego interesu, prócz chęci zaspokojenia osobistych potrzeb, namiętności lub nałogów...“

Sokrates, mędrzec ateński, tuż przed śmiercią rzucił w oczy trybunałowi sądzącemu niesprawiedliwie, nieśmiertelne i głębokie słowa: „Gdy synowie moi podrosną, chciejcie ich karać, jeśli będą pieniądz, albo jakąkolwiek inną rzecz przedkładali nad cnotę“.

Przydało by się, by nad tymi słowami zastanowiło się dzisiejsze społeczeństwo!

W czasach, kiedy Grecja chyliła się ku upadkowi, zebrało się w Atenach wielu zacnych mężów na naradę i debatowali nad tym, jak uratować ojczyznę od grożącej zguby.

Na tę naradę przybył także starzec siwowłosy. W milczeniu wyjął jabłko, już trochę nadpsute, rzucił je na ziemię tak, że się rozpadło. „Co to znaczy?“ — zapytali zebrani. — „Oto patrzcie“ — odpowiedział starzec — „jabłko zgniłe, nadpsute — to dzisiejsze społeczeństwo; ale jabłko to ma jeszcze zdrowe ziarna, t j. młodzież. Trzeba tę młodzież wychować należycie, zrobić z niej ludzi prawych, szlachetnych, z charakterem, a ojczyznę się uratuje!“

Do podobnego wniosku doszło także obecne starsze społeczeństwo, czego dowodem są słowa wypowiedziane do młodzieży: „Masz w sobie, młodzieży droga, zarodki dobra i tym jesteś wielka...“

Dalej słyszymy słowa: „Wszelka aktywność, entuzjazm pracy i poświęcenia zawsze płynie z silnego charakteru, z tężyzny moralnej.“

Słowa te są bardzo słuszne i prawdziwe. Lecz zachodzi pytanie: Jak uzyskać silny charakter i tężyznę moralną?

Przede wszystkim, jeśli się chce coś uzyskać, trzeba wiedzieć, co to jest, do czego dążymy.

Cóż to jest silny charakter i tężyzna moralna? — Silny charakter, moim zdaniem, jest charakterem chrześcijańskim, a tężyzna moralna równoważy się z nim.

Czym jest charakter chrześcijański? — „Charakter chrześcijański“ — mówi Józef Bilczewski — „jest to silna wola, oparta na uszlachetnionej fantazji i uczuciowości, która to wola kieruje życiem człowieka według zasad etycznych.“

W poprzednim zdaniu wskazany jest sposób, w jaki buduje się charakter. Pierwszym warunkiem jest zdobycie etycznych zasad. Zasad dostarcza człowiekowi rozum. Więc tym samym rozum odgrywa główną rolę w kształceniu charakteru. Pozostałe składniki, choć nie główne, ale jednak są niezbędne.

Urabiajmy swoje charaktery ,gdyż od nich zależą losy naszego życia i państwa!

H. Ciurzyński. Gimn. Społ.

GRA.

Olbrzymie, jaskrawe afisze, rozlepione w najbardziej widocznych miejscach, zapowiadają nielada sensację — mecz piłki nożnej. Spotka się (czytamy) dwu rywali w walce o zdobycie zaszczytnego, mistrzowskiego tytułu. — Wiadomość ta przechodzi z ust do ust. Całe miasto nią żyje. Uczniowie zapominają o lekcjach, nawet o uczenicach, a ich bujna wyobraźnia przeżywa kilkakrotnie to, co będzie. Zakłady o „słowo“ czy o „złotówkę“, co do wyniku meczu, są na porządku dziennym. Świat sportowców żyje swym życiem.

I wreszcie przychodzi oczekiwany dzień. — Entuzjastów sportu dzieli już tylko pół godziny od rozpoczęcia zawodów. Tłum pcha się do kas, do wejść... Robotnik, zarabiający 3 złote dziennie, płaci 2 za bilet. Zaoszczędzi sobie na chlebie... Uczeń sprzedał książkę, by wejść na mecz. Poświęcenie zaiste warte celu. I pieniądze, których podróż winna być nieco inną, wędruje do kasy biletowej przed wielkim stadionem sportowym...

Dziesięć minut przed meczem.

Trybuny zapełnione różną publicznością. Są panowie, nawet poważni „wiekiem i urzędem“, przeważa młodzież gimnazjalna, robotnicy. Czasem, o dziwo, mignie między głowami tłumu barwny kapelusz kobiety, czasem uczenicy berecik granatowy.

Od chwili znalezienia się na trybunach każdy z tych ludzi staje się cząstką tłumu. — Podlega jego woli, jego rozkazom.

Tymczasem tłum ten denerwuje się, tupie nogami... Ten tupot tysięcy nóg wypędza na boisko graczy. Wbiegają rzędem w swych pstro-

katych kostiumach, dumni, „wielcy“. Tłum szaleje, ryczy, gwiżdża, klaszcze.

Mimo woli przenoszę się myślą do cyrku rzymskiego, czy na plac walki byków. Stwierdzam niezmierne podobieństwo.

A szalejący tłum nadal zapamiętale klaszcze, tupie. Zapomina o sobie, o swym „człowieczeństwie“, myśli o tym, co widzi. I wątpię, czy teraz, gdyby gromowładny Zeus zagroził zniszczeniem, mocą swych piorunów, tym ludziom, boisku i trybunom, czy zdołałoby to zmusić tłum do opuszczenia miejsc.

— — — — — — — — — — — — — —

Zaczęła się gra. Gracze dają z siebie maximum wysiłku, by pokonać przeciwnika. Co chwila ktoś pada kopnięty, lecz szybko wstaje i gra dalej. Ktoś został uderzony w twarz piłką, krwawi, lecz gra dalej. Gra w myśl zasady: „Wszystko dla sportu“.

— — — — — — — — — — — — — —

Pół meczu upłynęło, wynik „bezbramkowy“. Robi się gorąco. Zdenerwowanie wzrasta. Publiczność rozpalona, spocona — wszak ona też gra...

Tłum dzieli się na dwa obozy — zwolenników „białych“ i „czerwonych“. Każdy pobudza swego pupila do gry, do ostrej gry. Okrzyki wyglądają mniej więcej — „Złam mu nogę!“, „Do szpitala z nim!“.

Atmosfera staje się groźna. Wśród tłumu widnieją postacie policjantów. Jeszcze dziesięć minut do końca, pięć, trzy, dwie...

Kto wbiję bramkę, ten wygra mecz. Gwar staje się coraz większy, przemienia się w krzyk, w ryk... Pomęczone postacie słaniają się po boisku. Grają ostatkiem sił.

— — — — — — — — — — — — — —

W pierwszym rzędzie trybun stoi młody chłopiec. Założył się o złotówkę, że biali wygrają. Wierzy, że się tak stanie, wierzy, bo gra jego kolega. Zachrypnięty krzyczy: „Stasiek, tempo!!!“ „Tempo!!!“.

Wtem staje się coś dziwnego.

„Stasiek“, zda się, usłyszał nawoływania. Resztkami sił pędzi z piłką pod bramkę przeciwnika. Ten nadbiega ku niemu. Walczą o piłkę. Strzał — krzyk tłumu. Stasiek pada.

Tłum ryczy, szaleje, tupie, gwiżdże. Dziki, bezmyślny tłum.

A „Stasiek“ — bohater meczu... Złamał nogę w zderzeniu z przeciwnikiem. Wynoszą go. Jęczy.

— — — — — — — — — — — — — —

Szalony tłum wychodzi z boiska. Biali wygrali... Młody chłopiec idzie, rozpromieniony, ulicą. Zaciera ręce. Nie zważa, że obok przejeżdża karetka pogotowia, a w niej wiozą przyjaciela-Staśka.

Przecież wygrał złotówkę...

R. J. G. P. H. S.

CZYM JEST DLA MNIE KSIĄŻKA?

Mój stosunek do książki — mnie samej wydaje się dziwny; dziwny o tyle, że kocham ją i nienawidzę niemal jednocześnie. Jeśli chodzi o podział mojej lektury, to uznaję tylko jeden: książki naukowe i reszta. Głównie właśnie interesuje mnie teraz ta reszta, bo co do książek naukowych i ich wartości dla mnie, to jedną mam tylko odpowiedź: dzięki takim właśnie książkom zdobywam szereg wiadomości z dziedzin, które mnie interesują, a więc przede wszystkim z malarstwa i... medycyny. Zestawienie jest, co prawda, dosyć dziwne, ale właśnie książki popularno-naukowe z tych dziedzin najchętniej czytuję. I może nawet takie książki dają mi więcej, niż owa „reszta“, ale do tej „reszty“ nie potrafię się obiektywnie ustosunkować i dlatego jest mi o wiele, wiele bliższa.

Kocham książkę, bo mnie wprowadza w świat piękny (co prawda nie zawsze) i inny, niż ten, w którym żyję. Piękno to widzę przede wszystkim w potędze uczuć. Nie zależy mi wcale na tym, czy ta, lub inna postać będzie zła, czy dobra — według miary, przyjętej na świecie, ale zachwyca mnie dynamika uczucia, to, że nie ma tam miejsca na ów „złoty środek“. Za to kocham książkę, kocham tym bardziej, że w życiu potęgi uczucia nie widzę; większa część mego otoczenia (nie tylko zresztą mego — wyrabiam sobie takie przekonanie o całej niemal ludzkości) bierze sobie niejako za punkt honoru utrzymać się w owym „złotym środku“, (jego „złoto“, to znaczy dobroć, jest dla mnie mocno problematyczne) nie być ani dobrym, ani złym, ale „pośrednim“ w każdej myśli, w każdej czynności, w każdym uczuciu — jakież to dla mnie mało piękne! Myślę nieraz, że nawet wolałabym, by mnie ktoś nienawidził, niż żeby obdarzał tym nieznośnym, mdłym „pośrednim“ uczuciem.

Poza tym kocham jeszcze książkę, bo znajduję w niej piękno już innego rodzaju, raczej formalne: piękno stylu, myśli, artyzm.

Moja nienawiść do książki wypływa z tego samego źródła, co i miłość: z mojego subiektywnego podejścia. Nienawidzę książki, bo obserwując ten cały świat, zamknięty w zadrukowanych kartach, widzę w nim piękność, której w życiu nie ma; nienawidzę, bo te czarne litery rozsnuwają przede mną horyzonty różane, ukazują inny świat, którego (jestem o tym głęboko przekonana) w życiu nie znajdę nigdy, bo go nie ma!

Nie mogę powiedzieć, by książka była dla mnie odprężeniem po życiu codziennym; zbyt silnie wczuwam się w to drukowane życie, by czytanie mogło być dla mnie miłą rozrywką.

Ka-na. G. P. J. S.

Coś z historii...

O ile instytucje oszczędnościowe istniały już dużo wcześniej, o tyle myśl założenia Szkolnych Kas Oszczędnościowych powstała dopiero w roku 1866. Przyczyniła się do tego przede wszystkim sama młodzież, przeważnie najbiedniejsza, wśród której myśl oszczędzania znalazła o wiele podatniejszy grunt, niż u zamożniejszych rówieśników. Zakładano więc początkowo koła, a te gromadziły zebrane oszczędności w jednej wspólnej skarbonce, z której je następnie w miarę potrzeby wycofywano. Oczywiście o procencie nie było nawet mowy z powodu braku odpowiednich funduszów; ten właśnie brak stanowił najpoważniejszą przeszkodę w rozwijaniu się idei oszczędzania wśród młodzieży.

Dopiero jeden z wychowawców, wielki przyjaciel młodzieży, prof. Franciszek Laurent, zwrócił uwagę na niedomagania życia szkolnego ówczesnej młodzieży i założył wreszcie po usilnych staraniach pierwszą kasę szkolną oszczędnościową w Gandawie (Belgia) w r. 1866. Jak rzeczywiście była ona potrzebną, jakie zrozumienie znalazła u innych, niech świadczą fakty, że na członkach, pieniądzach jej nie zbywało nigdy, przez co zyskała tak wielki rozgłos i uznanie, że nie tylko wszystkie szkoły belgijskie, lecz także w innych państwach poszły za jej przykładem. Pierwszym krajem była Francja, w ślad za nią poszła Anglia, Holandia, Prusy, Austria i inne.

Wielka wojna zahamowała w dużym stopniu rozwój oszczędności wśród młodzieży, lecz dzisiaj doszedł on do pełnego rozkwitu, czego dowodem są choćby te cyfry: w Belgii oszczędza 73 proc. ogółu młodzieży szkolnej, w Anglii 55 proc., we Francji 54 proc. Pierwsze jednak miejsce pod względem organizacji kas szkolnych i ilości oszczędzającej młodzieży zajmuje Szwecja, posiadająca do 600.000 członków S. K. O. z łączną sumą wkładów 30 milionów koron szwedzkich. Idea oszczędzania znalazła również pełne zrozumienie u władz szkolnych i czynników rządowych wszystkich państw europejskich: np. w szkołach włoskich traktowana jest jako przedmiot nauczania w związku z wykładami ekonomii politycznej i gospodarki społecznej.

W Polsce nie posiadają Szkolne Kasy Oszczędnościowe tradycji przedwojennych z tego powodu, że rozczłonkowanie kraju, rozproszenie młodzieży po obcych uczelniach oraz brak jednolitej szkoły niweczyły sporadyczne wysiłki jednostek, czynione w kierunku rozwoju idei oszczędnościowej wśród młodzieży.

W ostatnich latach rozpoczęły jednak władze szkolne bardzo ożywioną działalność w kierunku szczepienia i rozwijania myśli oszczędnościowej wśród młodzieży. Rozporządzenie ministerstwa W. R. i O. P. głosi: „Jedną z najistotniejszych potrzeb gospodarczych społeczeństwa jest potrzeba oszczędzania. Potrzebę tę uświadamiają sobie wszystkie warstwy ludności, rozumieją, że oszczędność zapewni trwały i pewny byt państwa i jego obywateli. Szkoła, której zadaniem jest wychowanie obywateli, zdolnych do życia i pracy twórczej, nie może pozostać obojętna na najżywotniejsze potrzeby gospodarcze społeczeństwa. Jej zadaniem jest między innymi wpojenie w młode pokolenie, przyszłych budowniczych Państwa, zrozumienia wartości pieniądza, konieczności oszczędzania, a w związku z tym obracanie rozporządzalnych środków pieniężnych na cele najbardziej odpowiadające interesowi i potrzebom ludności. Spełniając swe zasadnicze zadania, winna szkoła wziąć czynny udział w organizacji oszczędności. Należy pamiętać o tym, że ci, którzy kosztem wyrzeczenia się łakoci lub zabawek oszczędzają grosze w dzieciństwie, w przyszłości potrafią z pewnością oszczędzać tysiące i budować rzeczy wielkie...“

Rozporządzenie to rozpoczyna okres zakładania i organizowania pierwszych Szkolnych Kas Oszczędnościowych, opartych o P. K. O. Przewodnim celem ich jest „krzewienie cnoty oszczędności wśród młodzieży szkolnej“, by przez nią dać państwu w przyszłości oszczędnego obywatela o wyrobionym charakterze i silnej woli. A cóż, jak nie oszczędzanie właśnie kształci jednostkę i jest miernikiem jej użyteczności!

Stajemy teraz do zawodów o prymat na polu oszczędności z młodzieżą innych krajów i, choć jesteśmy jeszcze daleko w tyle za nią, nie wątpimy w lepsze, niż dotychczasowe, wyniki. Jeśli nie możemy narazie zwyciężyć i przodować innym, to starajmy się na razie im dorównać!

„Artur“. VII-b.

Krytyka i autokrytyka.

Uczona etymologia upoważnia mnie do powyższej kolejności wyrazów tytułu, jednak zajmijmy się pierwej autokrytyką, tą szczerą, tą prawdziwą.

Sądzić samego siebie — oto, co może być najbardziej w swych skutkach zbawiennego dla piszących, nie wyłączając zagorzałych zarozumialców i pyszałków.

Piszemy z różnych przyczyn, różne rzeczy mając na względzie. Jeżeli więc jakieś zdarzenie było przyczyną pisania — to dobre to jest, powiedzmy, raz. Później jednak może się stać

owo pisanie — nałogiem, zwanym grafomaństwem, któremu jeśli czegoś brakuje — to bodaj najbardziej autokrytyki.

Jeżeli mimo wszystko uparliśmy się pisać, powodując się prawdziwą wzniosłością głoszonej idei, pamiętajmy o tym, że źle wypowiedziana, oczywiście w piśmie, myśl, traci niewątpliwie na swej istotnej wartości.

Dlatego też dzielmy się ideą z „ludźmi pióra“ pod pewnymi warunkami. Czyńmy to wspaniałomyślnie, aby oni, o ile idea trafiła im do przekonania, mogli się stać jej szermierzami, szermierzami jednego z nowych pojęć.

Lecz — jeśli uważamy swe prawo do głoszenia własnej myśli za „coś“ należnego sobie wyłącznie — weźmy się do poważnej roboty nad sobą, która będzie wprawdzie powolnym ciosaniem kamienia, ale... przecież także i z martwych skał powstają piękne posągi.

Tak każe myśleć autokrytyka!

Ponieważ jednak rosną zastępy tych, którzy bez wznioślejszej myśli, lub wręcz dla samego pisania, powołując się zarozumiale na pokrewieństwo „po piórze“ z Wieszczami, zapełniają czyste karty czarnymi literami, nie dziwmy się sądowi pewnych kol. kol. o naszym piśmie:

„Świat Szkolny“ jest mdły! Zawartość numeru — to dziwna, rzec można, mieszanina! Niewiele brakuje, a wegetacja „Świata“ zmieni się w powolną agonię!“

Prawdą jest, że zdania te są bardzo pesymistyczne, jednak przyznać musimy po większej części słuszność stawianym zarzutom. — I trzeba się pytać:

— Dlaczego się „to wszystko“ dzieje?...

Przecież każdy Komitet redakcyjny stawia sobie na początku każdego roku szkolnego — nowe zadania do spełnienia, w których wysłowieniu nie brakuje wyrazów poświęconych sposobom podniesienia poziomu naszego pisma.

A jednak?... Jaka przyczyna, skoro takie — smutne skutki? Nie trudno ją znaleźć! Stwierdzić więc musimy za kol. ajax-em, za naszym (sit venia verbo) „Satyrem“:

„Wśród młodzieży
grafomaństwo się szerzy!“

Krótko i zwięźle powiedziano o owej przyczynie tak, że nic chyba dodawać nie trzeba. A bodaj zaraz za tym czyni tenże kol. wyznanie:

„A przykładem tego
ego!“

— B-r-a-w-o! k-o-l-e-g-o! — krzyknę do rymu. Moja entuzjastyczna, jakby się wydawało, radość wywołana jest drugim zdaniem. Oto jest właśnie autokrytyka! Raz wolno każdemu być świadomie garfomanem! My, tolerancyjni, możemy sobie pozwolić na taki „liberalizm“!

A teraz dalej: Nie tylko tym, którzy są bez „iskry bożej“, pomocną jest samoocena. Również i tym, którzy posiadają „dary“ w swych dłoniach, niechaj autokrytyka każe zwrócić uwagę na zbytnią, że się tak wyrażę, *ex cathedralność in extenso* ich pism, ich myśli, ich zdań przy jednoczesnym subiektywiźmie.

Łatwo można zauważyć, że jeśli jednym przy nadmiernej pewności siebie brak jest obiektywizmu, tak innym, patrzącym znów zbyt krytycznym okiem, nie zbywa na dziecinnej wprost lękliwości w wypowiadaniu swych (może słusznych) sądów. Nie umiemy wybrać t. z. złotego środka, który nie jest przecież kompromisem. Jedni idą górą, drudzy dołem!

Autokrytyka posiada moc zniwelowania powstałych różnic, usunięcia przykrego mankamentu, wszak samoocena — to rozwaga i obiektywizm, jak sądzić należy z imienia, w stosunku do siebie.

Lecz tylko wtedy krytyka samego siebie będzie przyczynkiem do zwiększenia się stopnia naszego wyrobienia umysłowego a nawet i moralnego, kiedy będzie szczerą i prawdziwie po chłopsku zdrową.

A teraz — „biały kruczek“:

W odpowiedziach Redakcji łatwo się doszukać można w numerze grudniowym następującego zwrotu: „G. P. H. S. „Widmo“ — praca niesamodzielna“. Trudno jest nie zauważyć jakiejś przewrażliwionej kurtuazji Redakcji wobec „widmowego autora“. Skoro on, kopiując czyjś utwór, nie posiada sumienia, że się tak wyrażę, „literackiego“ A to po cóż staramy się wobec, jak sądzić można, plagiatora być nad wraz uprzejmymi i... pobłażliwymi. — Powinien się on spotkać z wyraźnym napiętnowaniem, z publiczną, oczywiście, w piśmie naganą.

Skoro ktoś nie potrafi, lub wręcz nie chce osądzić samego siebie i zdać sobie sprawy z tego, co czyni — to należało by, aby właśnie krytyka powiedziała tu swe zdanie, ale nie to złośliwe, nie to zgryźliwe, nie to piesko-zjadłe, lecz owo bezstronnie mądre.

Skoro weszliśmy na temat krytyki, mówmy o niej dalej.

Znają chyba wszyscy to stare powiedzenie, że „zdrowa krytyka jest potrzebna“. Nie ma powodu nie zgodzić się z tym. Słusznie!

Jednak t. zw. „smutna rzeczywistość“ naszego pisma dobitnie mówi, że stare — jak świat — powiedzenie jest dla naszego „Świata“ czymś dalekim, nieznanym, a jeśli stanie przed nami — będzie ono czymś nowym.

Nasza krytyka „choruje“, a czas, sądzę, jest najwyższy, aby zaczął się okres rekonwalescencji. A może krytyka nie wie, na jaką chorobę zapadła? Postawmy więc skromną diagnozę! Powiemy to, co zdrowy rozsądek każe powiedzieć!

Stronnicze nastawienie naszej szkolnej krytyki wobec pewnych haseł utrudnia bez wąt-

pienia wydanie obiektywnego sądu. Tu zaczyna się podział:

Jedna więc część naszej krytyki — to krzykacze wołający zachrypłym z wysiłku głosem wszystkim wobec i każdemu z osobna: Precz z polityką w szkole! w szkolnym piśmie!, chociaż z drugiej strony ich krytyki mają tendencje wzięte, co tu kryć, z programów politycznych. Jednej grupie zarzuca się więc świadomą dwulicowość w jakimś nieokreślonym celu oraz to, że sofizmat jest ich nieodłącznym „przyjacielem“.

A druga część?

Ci drudzy — to dziwne, rzec można, stworzenia. Gdzieś, w mrocznej głębi ich zakamarków mózgowych powstają dziwne przeczucia; pod sercem zaś rodzi się „nieutulona tęsknota“ zwana inaczej potrzebą pisania krytyk.

Otóż pisze się skromne „Moje uwagi“ lub „Uwagi na marginesie“, których autorzy nie liczą się z żadnym autorytetem i „zjadają“ — mówiąc naszym „sztuby“ językiem — „jakichś“ tam panów Żeromskich czy innych.

Potrzeba jeszcze tylko tego, aby Redakcja razem ze swym „sztabem“ piszących stanęła przed majestatem tej drugiej części krytyków i rzekła pokornie do zwierzchnika „przewielebnego Areopagu“:

„Królu i panie,
miej nad nami zmiłowanie!“

Ale mniejsza o to! Na podstawie naszych rozważań zarzucamy krytyce, tej drugiej, naiwność i wręcz głupotę oraz bezsensowność sądów. Powiedzmy szczerze, że z pustki „trudno“ stworzyć coś! Nie krzyczmy więc dla samego krzyczenia! Nie silmy się! Oszczędzajmy swoje zdrowie i nerwy czytających!

Po tych kilku wykrzyknikach pozwolę sobie zrobić małą uwagę, co jest sednem drugie części artykułu, a mianowicie: Naszej krytyce brak jest autokrytyki!

Musimy powiedzieć, że tych dwu rzeczy, tych dwu pojęć nie da się rozdzielić! Musi istnieć ich współdziałanie. Aby z tego współdziałania otrzymać pożądane rezultaty, spełnić należy dwa warunki:

a) optima fide,
b) optima forma.

To, sądzę, wszystko! Zakończmy więc te niezbyt wesołe rozważania.

Ed. ski. G. P. H. S.

Żeglarskie wspomnienia.

IMPRESJA — KAZIKOWI — MOJEMU BRATU.

W naszej szarej i jednostajnej pracy monotonnie mijają dni. To, co nas w koło otacza, streszcza się w ludzkim pośpiechu, w ciągłym „braku czasu“ i wiecznym zamęcie. W codziennym kołowrocie zajęć i interesów zacierają się wspomnienia, zatraca uczucie miłości do tego, co piękne i wzniosłe. Ludzie przestają żyć przeszłością, chociaż jej wspomnienia są często najpiękniejszymi kartkami ich życia.

Jakże inaczeej jest w naszym życiu, w życiu wodnych włóczęgów... Mijają dni — miesiące — lata... a nasze wspomnienia pozostają niezatarte i wprost przeciwnie, z biegiem czasu krystalizują się, stają się coraz piękniejsze.

Pamiętasz na pewno — sterniku z „Cieknącej trumny“ — jak z wyładowaną po brzegi łodzią, z połamanymi falochronami, bez fartucha i deszczówek przedzieraliśmy się zarośniętą Naroczanką, by jak najprędzej stanąć u jej ujścia, by jak najprędzej spojrzeć na przestrzeń daleką, na świat otwarty, zasnuty błękitną mgłą Naroczy.

Pamiętasz, jak marznąc przesiadywaliśmy do północy nad jej piaszczystymi brzegami, by podziwiać księżyc w pełni. Jeden zawieszony hen, gdzieś na błękitnym nieboskłonie, a drugi nurżający się w szmaragdowych wodach Naroczy. Pamiętasz, bracie, te trzykrotne „hip-hip-hura“, którym witaliśmy Wilię, pamiętasz „Kuzyna“ naszego miłego towarzysza, pamiętasz promy i siwych, serdecznych przewoźników. Miłe wydają ci się dreszcze, gdy wspominasz groźne — pokryte pianą — szypoty, uśmiechasz się — wspominając trzask „nawalonego“ żebra i zdarty w ostatniej chwili żagiel. Nigdy nie zapomnisz jeziora Ostrzyckiego i potężnych buków, okalających pierścieniem jego wody, nie zapomnisz „Świńskich ogrodów“ i prześlicznej alei świerkowej i łubinów z perełkami rosy porannej, iskrzącymi w słońcu tysiącem blasków. I dzisiaj, chociaż 3 długie lata dzielą nas od tych chwil niezapomnianych, ty, braciszku, pamiętasz czar Raduni, pamiętasz Kartuzy i 170 jezior Szwajcarii Kaszubskiej, pamiętasz Gaj Świętopełka i Tucholskie Bory, pamiętasz wschód słońca na Partencinach i naszą jazdę „Czarną Wodą“...

A czy nie piękne były dni — towarzyszu z „Trampa“ — któreśmy razem przeżyli na jeziorach Trockich, czy zostawiły ci one co innego prócz nieskazitelnych a trwałych wspomnień... Przywołaj te chwile z Rozkopanki i tę serdeczną znajomość z wileńskimi sztubakami, przypomnij sobie białe skrzydła żaglówek trzepocące na wietrze i nasze ostatnie ognisko... gości ze schroniska... pożegnania... i nasz odjazd...

Wspomnienia odległe, a jednak tak bliskie i świeże... zawsze nowe i zawsze miłe. W czasie włóczęg naszych uciekaliśmy od tłumu, od gwaru miast i zgiełku wielkich ulic. Dążyliśmy do światła, do wolnej przestrzeni, do dali

bez końca i granic, gdzie duch i myśl bez przeszkód może krążyć, gdzie nie ma więzów, a jest wolność i jest gdzieś w pobliżu próg nieskończoności!

Nie zapomniałeś — kompanie i przyjacielu z „Wicherka“ — Miądziołki i Malinówki, pamiętasz jezioro Bohiń i piękną zwierciadlaną powierzchnię jeziora Dołże, pamiętasz groźne pomruki wiatru i krótką poprzeczną falę, która witały nas Dryświaty. Ciągle wspominasz zapewne „Czortów“ i „Bobrów“ — tych miłych współtowarzyszy naszych wędrówek.

Pamiętasz, braciszku, to wszystko tak dobrze, jak wydarzenia ostatnich dni, pamiętasz i będziesz pamiętał tak długo, dopóki myśli twoje szybować będą nad szlakami naszych wodnych włóczęg i dopóki ty sam pozostaniesz wierny żeglarskim ideom!

Tad. Duszyński. G. P. R. T.

Muzeum regionalne w Częstochowie.

(DZIAŁ BOTANICZNY).

W dzisiejszych czasach, kiedy technika i postęp idą naprzód w zawrotnym tempie, widzimy coraz mniej różnego rodzaju zabytków. — Dlatego nabierają znaczenia muzea różnych typów, a szczególnie regionalne. Są one niejako magazynami ochronnymi tego wszystkiego, coby bezpowrotnie przepadło dla dobra kultury narodowej, dla historii ziemi, dla historii krajobrazu i t. p. Muzeum przez dobór swych zbiorów daje nam możność poznania dawnej kultury, dawnej szaty roślinnej, w ogóle poznania na danym skrawku kraju tego, co jest dziś i co było dawniej. W dzisiejszym życiu muzea regionalne mają duże znaczenie dla szkoły. Muzea takie mają się stać komórką nauki dla polskiej szkoły. Zgodnie z tymi postulatami w wielu miejscowościach powstały już muzea regionalne.

I tak z początkiem r. 1936 w Częstochowie zostało otwarte Muzeum Regionalne, dzięki staraniom Towarzystwa Regionalnego, które już od kilku lat rozwija swą działalność na terenie Częstochowy i jej powiatu.

Muzeum to podzielone jest na kilka działów: na dział przemysłu i handlu, dział przyrodniczy i dział krajoznawczy.

W dziale przyrodniczym ciekawe są eksponaty roślin z okolic Częstochowy. W kilkudziesięciu okazach została przedstawiona bardzo bogata i ciekawa roślinność, mamy tam przedstawicieli różnych zbiorowisk roślinnych. Ta różnorodność flory wynikła z różnorodności gleby. Na terenie pow. częstochowskiego przebiega pasmo skalistych skał wapiennych, które są częścią pasma Krakowsko-Wieluńskiego. — Skały te częściowo pokryte są lasami. Właśnie w zapadlinach tych skał i małych wąwozów przetrwały do dziś rośliny szczątkowe. Są to rośliny przedlodowcowe, a więc starsze od istnienia człowieka.

Okolice Częstochowy posiadają nie tylko zabytkową roślinność, ale również ciekawe drzewostany, jak: rezerwat bukowy w Złotym Potoku, rezerwat jodłowy w Juliance, ciekawe drzewostany mieszane na Zielonej Górze i na Sokolich Górach, oprócz tego są dwa tereny cisowe: jeden w Przybynowie, drugi w Jasieniu.

Do ciekawych roślin, które można w muzeum oglądać należy *przewiercień Gaudina* (Bubleurum Gaudini). Jest to roślina wysokogórska, na niżu występuje bardzo rzadko a w okolicy Częstochowy spotykamy ją w trzech miejscach: na Zielonej Górze, na Sokolich Górach i na zboczu Warty zw. „Zaroślakiem“.

Drugą zabytkową rośliną jest *lilia złotogłów* (Lilium martagon L.). Piękna i okazała ta roślina jest prawdziwą ozdobą okolicznych lasów. Śliczne jej kwiaty ciemno-czerwone wysoko wystrzelają w górę ponad szarą brać roślinną. W niektórych okolicach np. w ok. Krakowa, roślina ta jest rzadkością i podlega całkowitej ochronie, gdyż jest tam na wyginięciu. W okolicy Częstochowy jest ona dość częsta. Pomimo tego jednak winna podlegać ścisłej ochronie, gdyż człowiek w wielu wypadkach nie umie powstrzymać swojej ręki niszczycielskiej.

Skalnica gronkowa (Saxifraga Aizzon) w zasadzie występuje w piętrze alpejskim, dochodząc w Alpach do 3415 m., a na niżu zjawia się jedynie tylko miejscami i to wyłącznie na wapieniu. Na skałach Olsztyna znajduje się ona w dużej ilości, tworząc tam rozległe sinozielone poduszki.

Na skałach Olsztyna jest również ciekawa paproć skalna, *zanokcica* właściwa (Aspenium ruta muraria L.). Paproć ta, o liściach zimotrwałych wędruje po skałach i murach wapiennych po całej Europie.

Na Zielonej Górze i na Sokolich Górach występuje *żywiec dziewięciolistny* (Dentaria enneaphylla L.), roślina ginąca już, bardzo rzadko spotykana w Polsce.

Z roślin stepowych mamy odmianę *pięciornika wyprostowanego* (Potentilla recta var. sulphurea); występuje ona tylko na jednej skałce koło wsi Kusięta.

Z roślin górskich trzeba jeszcze wymienić *czosnek niedźwiedzi* (Allium ursinum) i *kokoryczkę okółkową* (Polygonatum vrticillatum All). *Czosnek niedźwiedzi* jest typowym przedstawicielem lasów bukowych. Obydwie te rośliny występują w Złotym Potoku.

Koledzy, zwiedzajcie Muzeum Regionalne w Częstochowie!!!

Błaszczyk Henryk. Gimn. Społ.

REDAKCJA

„ŚWIATA SZKOLNEGO"

ŻYCZY

TEGOROCZNYM MATURZYSTOM

POMYŚLNYCH WYNIKÓW

EGZAMINU DOJRZAŁOŚCI.

Kurator: *M. Bojarska.* Redaktor: *J. Kapuściński.*

Druk F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie.

Druk. F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie.